

Zwiedzaliście kiedyś miasto, którego nie ma? Pewnie nie. Bo i jak? Po pierwsze, jak można zwiedzać nieistniejące miasto? Zwykła logika nie przewiduje podobnej sytuacji. Po drugie, nawet gdyby istniała takowa możliwość, zapewne matki nie wypuściłyby was spod spódnic. „Nie idź, synku, to niebezpieczne”.

Masz rację, synku, siedź całe życie w bunkrze i oglądaj zawartość kiecki twojej starej, a kiedy tylko coś zacznie się dziać, wystaw bladą twarz na światło dzienne i pytaj: „Co się stało?”. Może ktoś ci opowie. Może ktoś jeszcze będzie wtedy żył.

W pamięci najstarszych Francuzów Paryż to nadal piękne miasto, a muzułmanie wnoszą wartość dodaną, jak Zinedine Zidane zdobywający najpierw mistrzostwo świata w piłce nożnej w 1998 roku a następnie mistrzostwo świata dwa lata później. Avenue des Champs-Élysées jest dumą miasta stołecznego, Łuk nosi nazwę Tryumfalnego, a nie Mahometa, zaś w Luwrze można podziwiać dzieła sztuki, które zostaną sprzedane w 2052 roku, kiedy to Francja stała się Emiratem Francuskim. Najstarsi Francuzi, którzy przeżyli Wojnę z Islamem, nie żałują łez, gdy opowiadają o czasach minionych.

Dziś mam okazję podziwiać to, co zostało z Paryża – ruiny i gruzy, ulice zawałone śmieciami i szczątkami tradycyjnie palonych aut, cztery metalowe kikuty Wieży Eiffła, a gdyby chciało mi się przejść kawaleczek, dotarłbym do Pałacu Wersalskiego przerobionego na kwaterę główną sztabu Emiratu Francuskiego. A raczej jego pozostałości po wybuchu bomby. Syndrom paryski odczuwany pół wieku temu to obecnie fraszka.

Niestety, nie mam czasu zwiedzać. Aktualnie klęczę z dłońmi na karku przed sześcioma islamcami, z których czterech celuje we mnie z AK-47. Generał Michaił Kałasznikow to był jednak łebski gość. Stworzył broń, która nawet po stu latach obecności na rynku pozostaje sprawna. Jedyne działający wytwór socjalizmu. Miałem nadzieję nie przekonać się o tym na własnej skórze, lecz cztery lufy wycelowane prosto w mój łeb mówią co innego.

Patrzę na buty ich przywódcy. Nie wolno mi spojrzeć draniowi w twarz. Może to i lepiej, facet jest paskudny jak moja była. Zdążyłem jedynie zauważyć, że połowę jego twarzy pokrywa czarna, gęsta broda, a druga połowa to blizna po oparzeniu.

- I co teraz, psie niewierny? – warczy do mnie kaleczoną angielszczyzną. Nie odpowiadam. – Zachciało ci się szpiegowania? Allah cię osądził i skazał na śmierć, a ja będę wykonawcą wyroku.

Jeden z terrorystów przeszukuje mój plecak. Znajdzie tam sporo ciekawych rzeczy, ale żadnej nie wykorzysta. To dedykowany sprzęt agenta, ma pamięć DNA. Islamiec wywala wszystkie moje rzeczy na ziemię i ogląda każdą z osobna. Lornetka, składany karabinek snajperski, garota, dmuchawka. Pakuje graty do worka z zamiarem zbadania ich po egzekucji. Natrafia na torebkę z kanapkami i widzę, jak świecą mu się oczy. W zrujnowanym Paryżu nie ma zbyt wiele jedzenia. Terrorysty muszą czekać na skąpe dostawy z okolicznych wsi. Kanapki wędrują do przywódcy, który po odmówieniu modlitwy dzieli sprawiedliwie jedzenie pomiędzy swoich ludzi. Jedzą łączywie, nie odwracając ode mnie uwagi. Cholera, nic nie zjem do wieczora. Jeśli dożyję, a o to będę musiał się trochę postarać.

Oceniam każdego przeciwnika z osobna. Całość powinna zająć mi od dziesięciu do piętnastu sekund. Kiedy terrorysta po mojej lewej bierze kęs kanapki, szarpnię jego karabin w moją stronę, kierując lufę obok mnie, natychmiast wstaję i chowam się za nim. Ten z prawej instynktownie oddaje strzał w moim kierunku, który trafia jego kolegę. Przejmuję karabin mojej żywej tarczy, zabijam dwóch trzystrzzałowymi seriami. Kątem oka widzę, jak przywódca skacze za pozostałością ściany, a szperacz rzuca mój plecak i zbiera się do ucieczki. Strzelam mu w plecy. Słyszę rozkazy dowódcy. Wyłapuję pojedyncze słowa. „Okrążyć”, „Zabić w imię Allaha”. Nie daję im na to czasu. Każdy dostaje po trzy kulki kaliber 7.62. Wtedy wypuszczam już nie bardzo żywą tarczę, która zaczyna mi powoli ciążyć, i dobijam nieszczęśnika. Zostaje mi tylko dowódca skryty za na pół zawaloną ścianą. Spryciarz. Nie spuszczaając jego kryjówek z oka, pakuję rzeczy do plecaka, i mówię:

- Smakowały wam kanapki z szynką?

- *Madha taqul ghyr makhls??* – „Co mówisz, niewierny?”.

- To, co słyszałeś. – Odpowiadam po angielsku. Nie będę burczał w ich języku.

– Wieprzowina. Trudno ją dostać, ale móc patrzeć jak wpieprzacie mięso, które nie

jest *halal*... Bezcenne – mówię, wyjmując granat. Wróg na pewno chowa się za ścianą z kałachem i czeka na dobry moment. Nie wystawi nawet pół głowy, żeby nie zarobić kulki. Normalnie wybiegłby na mnie choćby z nożem. Śmierć w walce, raj, hurysy, ich jedyny cel. Ale po spożyciu szynki nie trafi do raj. Najpierw zostanie wysłany do piekła, gdzie będzie płonął raz po raz przez stulecia, aż otrzyma szansę na wejście do *dżanny*.

- Zginiesz, psie!

- Kiedyś na pewno. – Wyciągam zawleczkę. – Jak wy to mówicie w takich chwilach? „*Allahu akbar*”? My mówimy „*Fire in the hole*”. – On już wie, że za chwilę wybuch rozerwie go na kawałki, ale nikt mu za to nie będzie bił brawa. Nikt się nawet nie dowie. Rzucam granat za ścianę, zanim terrorysta zbierze się do ucieczki.

Odchodzę. Po kilku sekundach słyszę najpierw krzyk, a potem głośnie: „BUM!”.

Najgorsze, że nie znalazłem tego, czego szukałem. Najwidoczniej profesor Samantha de la Croix pozbyła się paczki tuż przed śmiercią. To był ostatni trop we Francji. Zostaje mi niewiele czasu i nadzieja, że w Polsce pójdzie mi lepiej.

- Że jaka tym razem misja? – Major Wronski, mój dowódca, chyba zaczyna powoli wątpić w moje umiejętności. Marszczy krzaczaste brwi, a jego zmarszczki zdają się falować, co oznacza zdenerwowanie i brak cierpliwości.

- Panie majorze, z dokumentów, które widziałem w Paryżu, wynikało jasno – główna siedziba islamców jest w Polsce, gdzieś w Górach Ojcowskich.

Twarz Wronskiego tężeje nieco. Jego dziadek był Polakiem, który po misji w Zatoce Perskiej postanowił osiedlić się w USA. Jakiś sentyment tlił się w starym agencie CIA. Sentyment do Polski i do mnie, ponieważ przypominałem mu drugą ojczyznę.

- Skawiński, ty mnie wykończysz, wiesz? – Pociera pomarszczone czoło, lecz widać, że zaczyna pękać. – Dowództwo naciska, żeby to polowanie na duchy dobiegło wreszcie końca.

- A jak inaczej możemy je zakończyć, jeśli nie likwidując centralę?

Mam rację. Milczenie Wronskiego tylko to potwierdza. Macha ręką, jakby odpędzał muchę, co jest niemym rozkazem dla mnie, abym opuścił gabinet. Salutuję i wychodzę. Niedługo dostanę sprzęt i poznam dane wywiadowcze.

W Polsce nie ma islamców i właściwie nigdy nie było. Nie widzieli w naszym kraju niczego wartego uwagi. Kiepski socjal i antyislamskie nastroje nie sprzyjałyby ich celom.

Ja szukam czegoś innego.

Idę ulicami miasta znanego mi jedynie z opowieści. „Padwa Północy”, „Perła Lubelszczyzny”. To tutaj Szwedzi w ciągu tygodniowego oblężenia ubili pociskiem świnie w rynku. Gdyby postrzelali jeszcze tydzień, to według słów ordynata Zamoyskiego, mieli szansę ubić drugą.

Zamość.

Skutki eksplozji atomówki zrzuconej na Lublin, doprowadziły do wyludnienia miasta. Nie żeby jakieś promieniowanie, opad radioaktywny czy coś. Po prostu cała łączność i większość elektryki zdechła, w Zamościu zapanował chaos. Kto miał głowę na karku, ten grabił, co się dało, a kiedy wszystko rozgrabiono i siła zamieszek spadła, mieszkańcy wynieśli się na wieś. Tylko tam mieli szanse przetrwania. Społeczeństwo cofnęło się w rozwoju o jakieś dwieście, może trzysta lat. Owszem, samochody nadal jeździły, a broń nadal strzelała, ale tylko do momentu, gdy skończyło się paliwo i naboje.

Polska - poligon Europy od kilku stuleci. Rezerwacje pod numerem telefonu Kancelarii Prezydenta RP. W pakiecie: wojna światowa, nierzetelni sojusznicy i emocjonujące rajdy za upierdliwą partyzantką. Cena: do negocjacji. Po wygranej wojnie prosimy zgłosić się po kod rabatowy.

Po raz kolejny zadziałał mechanizm, który znałem z lekcji historii. Polska jako kraj w centrum wszystkiego, geograficzny środek Europy, zawsze była w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie, i nie bardzo miała możliwość przeprowadzki. Stale między Germanami a Rusami, między Prusami a Carską Rosją,

między III Rzeszą a Związkiem Radzieckim, a teraz... teraz to dopiero znaleźliśmy się w dupie.

Fachowcy prognozowali, że do 2035 w Europie będzie rodziło się więcej dzieci muzułmańskich, niż pozostałych. Zgadli. Mu'ammar al-Kaddafi powiedział, że islam podbije Europę bez jednego wystrzału, bez miecza i bez rozlewu krwi. Też miał rację. W 2064 Zjednoczone Emiraty Europejskie zażądały akcesu Grupy Wyszechradzkiej i przejścia obywateli na islam. Mężczyźni mieli być wcieleni do armii Emiratów, kobiety w harem, a dzieci na wychowanie do imamów. Nasi bohaterscy rządzący bohatercko odmówili, po czym bohatercko spierdolili na emigrację. W powietrzu wisiała bowiem wojna. Arabska ropa dwa lata wcześniej straciła ponad dziewięćdziesiąt procent wartości, a ich lobby nie było w stanie zatrzymać masowej produkcji samochodów na wodór, wodę i prąd. Lecz świat arabski miał plan B. Lata niepohamowanej emigracji do Europy, budowanie armii na miejscu, podsycanie emocji zbliżającym się dżihadem, by pewnego dnia zakrzyknąć: „Do boju!” i pokryć cały kontynent paskudnymi czarno-czerwonymi barwami dymu i krwi.

Przez Polskę, Czechy, Węgry i dalej na południe aż do Włoch biegło coś na kształt frontu. Trwało to kilkanaście miesięcy, kiedy porozumienie Federacji Wschodnioeuropejskiej i Stanów Zjednoczonych Ameryki podjęło decyzję o zrzuceniu atomówek na wszystkie większe miasta na zachód od Bugu i linii Rzeszów-Budapeszt-Triest. Najpierw zarządzono ewakuację ocalałych, ale nie wszystkim się udało. Co z tymi, którzy nie zdołali uciec? Większość pewnie zginęła. Lepsze dla nich to, niż islamska niewola. Ocalali próbowali przetrwać, części się udało, części oczywiście nie. Po całej Europie grasowały bandy islamistów, których nie zabiły bomby, i zwykłych bandytów, jakich pełno po każdym konflikcie zbrojnym.

Jeden obrazek mnie dotknął do żywego, choć raczej nie jestem wrażliwy. Dziewczyna, młoda, w studenckim wieku. Naga, najpewniej zgwałcona płacząca nad martwym ciałem koleżanki, owinięta w proislamski transparent. Chyba nie wierzyła, gdy w telewizji mówili o atakach islamców na demonstracje. Tysiące niewiernych w jednym miejscu, ulica, prosta droga. Wystarczy tylko ciężarówka... Zamach chyba podał w wątpliwość jej zdanie o islamie jako religii pokoju. O ironio.

Cóż, teraz prawie nie ma islamu i jest pokój. Może jednak tkwi w tym jakaś pokrętna logika?

Idę ulicami miasta, które kiedyś było piękne, a teraz wygląda jak starsza pani po czterdziestu latach trudnego małżeństwa. Mąż chlał, bił, zaniedbywał, a na koniec zostawił z depresją, bo znalazł młodszą. Mijam pozostałości Bramy Lwowskiej. Stąd do dawnego Urzędu Miasta całkiem niedaleko. Na lewo od ruin kościoła, potem na rynek, minąć ratusz i znowu w lewo. Kaszka z mleczkiem. Z moim fartem? W tę i z powrotem.

Istotnie, szczęście mi sprzyja. Czuję mocne uderzenie w lewy bark. Drugi pocisk przemyka mi koło ucha. Trzeci trafia w but, a czwarty leci za mnie. Nie wiem, w co trafił.

Uderzenie lżejsze niż paintball, ale mocniejsze niż kula z broni palnej. Kamień z procy. Grupka bandytów, średnio ogarniętych, sądząc po uzbrojeniu. Kryję się za kikutek drzewa. Rozmasowuję bolące miejsce. Będzie siniak i na tym powinno się skończyć. Kamyk nadleciał od strony zawalonego kościoła. Ponoć remontowali go gdzieś około 2020 roku, może strop wytrzymał bomby i dawał dach nad głową.

Wyciągam pistolet, zwykłego glocka, wersję z 2056 roku. W magazynku mam siedemnaście naboju, za których czarnorynkową równowartość mógłbym sobie kupić lub wybudować dom o średnim standardzie. I zostałyby na sutą parapetówę.

Włączam w soczewkach kontaktowych filtr termowizyjny, biorę głęboki oddech i skaczę w prawo, w rów. Słyszę parę kamieni z procy spadających za mną. Refleks, chłopaki, refleks i poprawka na ruchomy cel. Nic dziwnego, że macie tylko proce. Ześlizguję się na sam dół, wyciągam dwa noże, wysuwam kolejne dwa z czubków butów. Wbijając ostrza w szczeliny między cegłami, wspinam się po ścianie dawnego szańca. Niegdyś część umocnień obronnych, potem jedynie atrakcja Zamościa, dzisiaj – mój mały Mount Everest. Wspinaczka idzie mi nieźle. Jest jeszcze jasno, nie mam problemów z trafianiem w otwory. W jednym momencie cegła uskakuje mi spod stopy, ale mocny chwyt rękoma pozwala mi odzyskać równowagę.

Wchodzę na szczyt. Z góry obserwuję kościół. Termowizja umożliwia mi policzenie przeciwników. Sześciu, skupieni w jednym miejscu. Nadal mnie wypatrują. Powinni się rozdzielić i obstać wejścia. Cóż... Schodzę z szańca i znajduję wejście od wschodniej strony kościoła. Skradam się powoli, uważając na resztki gruzu pod nogami. Podchodzę dostatecznie blisko, by ocenić wrogi oddział. Banda brudnych i wychudzonych chłopaczków, między nimi chyba jedna dziewczyna. Drżą z

przerażenia i podniecenia. Dziś pustą przeważnie ulicą przechodzi gość, który wygląda na bogacza. Może będzie miał dobre buty, jedzenie albo naboje. Gdyby tylko udało się go zabić...

Mnie niełatwo pozbawić życia. Wymknąłem się islamcom i rodzimym bandytom, a teraz jestem najemnikiem na usługach jedyne go istniejącego rządu. Całkiem nieźle, co? Służba w wywiadzie wiele mnie nauczyła.

Żal mi się zrobiło gówniarzy. Przypominały mi nagą dziewczynę owiniętą transparentem z uderzającym brakiem nadziei w zapłakanych oczyskach. Poza tym, zabicie ich kosztowałoby mnie w prostym rozrachunku sześć kul, może cztery, gdybym dwójkę wykończył gołymi rękoma. A nie chcę wracać ze świadomością, że polecą we mnie kamienie, albo oberwańce pójda po kogoś silniejszego. Nie mam też ochoty iść naokoło.

- Ręce do góry, gnojki!

Dzieciaki odwracają się w moją stronę, wyrzucają ręce pod sufit, tylko jeden z chłopców próbuje wziąć zamach procą. Zabijam go bez mrugnięcia okiem. Litość ma swoje granice. Patrzę na padające, chude ciało. Mizerny trup, a kosztował rząd kilka tysięcy. Nie chciałem jednak ryzykować. Gdyby trafił mnie w oko lub krtań, mogłoby być nieciekawie.

Mówię do pozostałych:

- Kto chce zarobić?

Wyrrywają się wszystkie jak do odpowiedzi na pytanie Mikołaja: „Komu prezenty?”. Mam kilka cennych drobiazgów, które nie muszą mi być potrzebne, a chętnie kupię za nie spokój. I przewodnika. Z jeden nabój przeżyłyby kilka miesięcy, ale tego im nie dam. Gdyby zaniosły to na handel, kupiec spyta, gdzie to znalazły, a kiedy nie dadzą satysfakcjonującej odpowiedzi... Równie dobrze sam mógłbym je pozabijać.

Wyjmuję miniwędkę.

- Wiecie, jak się tym posługiwać?

Kręcą głowami i patrzą po sobie, ale jeden z chłopców odpowiada:

- Ja... Ja chodziłem z tatusiem na ryby, zanim... zanim... - Odpowiedź więźniemu w gardle.

- Gdzie jest Rynek Solny? Urząd Miasta?

Wędkarz wychodzi naprzód. Ma potargane włosy, w jego spojrzeniu widzę strach, ale i nadzieję. Nie przejął się zbyt martwym kolegą, pewnie jest obyty ze śmiercią.

- Ja zaprowadzę – mówi.
- Wystarczy, że powiesz, pokażesz.
- Wystarczy, żeby pan zginął. Tu niebezpiecznie.
- Umiem sobie radzić.

Jego smutny uśmiech zdradza, że jego zdaniem nie wiem, o czym mówię, i na co się porywam.

- W ratuszu siedzą zbóje. Pracujemy dla nich, a oni dają jeść. Z tym – pokazuje wędkę – będziemy mogli uciec, iść na swoje. Oni mają strzelby i stawiają pułapki. Nie wnyki, tylko nowoczesne, na lasery i czujniki ruchu. Miny i bomby. Wejdzie pan na Rynek i bum! Martwy. Zaprowadzę.

Daję chłopakowi wędkę. Niesie ją do pozostałych i zostawia pod ich opieką. W razie gdyby nie wrócił. Poklepuje po głowach, uśmiecha się, zapewnia, że będzie dobrze. Teraz będą mieli co jeść. Jeśli tylko znajdą miejsce, gdzie można złowić rybę. Ewentualnie jak dobrze pokombinują, złapią jakiegoś ptaka.

A jeśli chłopak zaprowadzi mnie w pułapkę? Może dostałby nagrodę od zbójów z ratusza? Może wzięliby go do bandy? Patrzę w oczy jego towarzyszy. Widzą w nim zbawcę, anioła, przywódcę. Do bandy wzięliby tylko jego, a on ma kogoś na utrzymaniu. Nie mógłby ich zostawić. Chyba mogę być spokojny. Zresztą, w razie czego mam pancerz, który co nieco wytrzyma, i szesnaście nabojów.

- Ruszajmy – mówię. – Jak Ci na imię, chłopaku?

- Mówią na mnie Ważka.

- Dobrze, Ważka, prowadź. Mam nadzieję, że nie zawiedziesz mnie w zasadzkę.

- No co pan – słyszę urazę w jego głosie. – Mam rodzinę, muszę do nich wrócić. Beze mnie zginą.

„Z tobą pewnie też” – myślę. „Jak nie wymyślicie czegoś sensownego przed zimą”.

- Czego pan szuka w Urzędzie Miasta?

Zastanawiam się, czy mu odpowiedzieć.

- Przeszłości – mówię w końcu. – I być może przyszłości.

Ten konkretny wykład z muzealnictwa miałem w planach przespać, lecz profesor Skalski, szczerowaty pasjonat gromadzenia wszystkiego, co niepotrzebne, na wstępie zaznaczył, że będzie nam dane usłyszeć o rewolucji. Nie powiem, ciekawość odpędziła sen i zamiast tradycyjnie złożyć głowę na kaloryferze pod parapetem, zdecydowałem dać szansę największemu nudziarzowi na wydziale.

- Drodzy studenci, panie i panowie, to wam postanowiłem pochwalić się epokowym osiągnięciem, jakiego dokonaliśmy wraz z wybitnymi specjalistami z Czech, Emiratu Niemiec, Japonii oraz Emiratu Francuskiego. Dzięki naszemu wynalazkowi muzealnictwo wespnie się na wyższy, niedostępny dotychczas poziom! – Wyrzucił ręce w górę i nieznacznie podskoczył, co przy mikrej posturze dało nader komiczny efekt. – Zjednoczone siły historyków sztuki – kontynuował, poprawiając pulower - konserwatorów zabytków, kartografów, grafików komputerowych i programistów pozwoliły na stworzenie jedynej w swoim rodzaju trójwymiarowej, pasywnie interaktywnej mapy miasta, które od dziś będzie można zwiedzać bez wychodzenia z domu za pomocą technologii VR.

W sali zapadła cisza. Ze zdumieniem mogę przyznać, że również zamilkłem. Jak dotąd podobne zjawiska miały dla mnie miejsce jedynie w filmach akcji, gdzie służby specjalne wykonują skany budynków, aby sprawniej się po nich poruszać. Ale miasto? No, no, Skalski, jeśli miałeś jedyną w życiu szansę, by mi zaimponować – oto ona!

- Projekt nazwaliśmy... – Zamilkł, najwidoczniej w oczekiwaniu na werble. – „Pomieścia”! Przynajmniej jakoś tak powinno się to tłumaczyć na język polski. Taką nazwę gremialnie wybraliśmy, albowiem gdy miasta odejdą w niebyt, zostaną pomieścia. „Po” i „mieścia” – rzekł profesor wyraźnie z siebie dumny, jakby pomysł wylazł z jego łysiejącej głowy. – Niczym „przedmieścia”, jeno w drugą stronę.

- Jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś tak robił kurwę z języka polskiego – powiedziałem do Fretki, mojej najlepszej, i jedynej, przyjaciółki z roku. Nie wiem, kto nadał jej ten pseudonim, ale był nad wyraz trafny. Fretka miała przesympatyczny

wyraz twarzy, zgrabną sylwetkę, a w określonych sytuacjach potrafiła wykonywać naprawdę zwinne figury akrobatyczne.

- Musisz zawsze zrędzić?

- Trudno się ze mną nie zgodzić, przyznaj. – Obdarzyłem Fretkę nieodgadnionym uśmiechem i już wiedziałem, że pomimo jej homoseksualizmu wylądujemy dzisiaj w łóżku. Nie dlatego, że się kochamy czy pociągamy nawzajem. Po prostu oboje lubimy seks, a nie dysponujemy wieloma alternatywami. Podobno na roku mam ksywę „Żywe Dildo”.

- Technologia pomieści – kontynuował profesor Skalski z egzaltacją – pozwoli nam zachować obraz współczesnych miast na długo po ich zniszczeniu, jeśli do takiego dojdzie, a wszyscy wiemy, że ograniczoność zasobów naturalnych prędzej czy później doprowadzi do globalnej klęski. Za pomocą skanów termicznych, cyfrowych, ultradźwiękowych i kilku innych we współpracy z władzami Zamościa, udało nam się stworzyć niemal idealną, cyfrową replikę miasta. Do zwiedzania zasadniczo wystarczą same gogle VR połączone z Internetem, gdyż plik pomieścia uploadowaliśmy na chmurę. Możliwe jest również odpłatne pobranie, co pozwoli uniknąć opóźnień zwanych powszechnie lagami. Mam nadzieję, że niczego nie przekręciłem. – Uśmiechnął się, jakby był w pracy pierwszy raz. – Co ciekawe, obraz będzie się stale aktualizował, kiedy tylko powstanie nowy budynek lub stary zostanie zniszczony. Mogę ponadto dodać...

Kilka godzin później leżąc nago obok równie nagiej Fretki wspominałem obraz z rzutnika. Robił wrażenie nawet na mnie, jednak moja zrędziwa natura kazała rozważać zasadność takiego przedsięwzięcia. Na co to komu? Kto za to zapłacił? Komu się to przyda? Kilkadziesiąt milionów wpakowane w projekt, który raczej się nie zwróci w imię... czego? Sztuki? Zabezpieczania zabytków? Muzealnictwa? A może po prostu rząd miał nadwyżkę w budżecie, którą trzeba było rozepchać po kieszeniach, a nie było jak?

Spojrzałem na Fretkę, policzyłem jej piegi, wsłuchałem w miarowy oddech. A może ją namówię, żeby przestała być lesbijką? W sumie dobrze nam ze sobą.

Ważka prowadzi mnie w przeciwnym do zakładanego przeze mnie kierunku. Nieszczególnie mi się to podoba, lecz cóż, młodzik pewnie wie, co robi. Swoją drogą zastanawiam się, co konkretna banda robi w Zamościu? To miasto ponoć nawet będąc w pełni chwały, wyglądało jak martwe. Brak życia nocnego, jedna większa impreza na sto lat i wieczne żerowanie na zabytkach. Co sprawiło, że bandycka hanza zechciała się tu osiedlić?

- Ważka?

- Tak, proszę pana?

- Wiesz, dlaczego ci zbóje tu siedzą? Mam na myśli, akurat tutaj, w tym mieście, a nie gdzieś bliżej źródła wody, pół i tak dalej.

- Pan Riczi twierdzi, że jest tu coś cennego.

Riczi. Niech to szlag.

Czternaście lat po zakończeniu studiów, kiedy najpoważniejsze skutki globalnego konfliktu atomowego osłabły, a ludzie powoli zaczęli się organizować, zrozumiałem, że zdobyta na wykładzie wiedza o pomieszczeniach jest na wagę złota. W chaosie postapokaliptycznego świata mniej więcej wiedziałem, w jakim kierunku powinienem zmierzać, a to już coś. Dziewięćdziesiąt pięć procent ocalałych nie miało takiego komfortu. Ot, mieć co jeść, gdzie spać, nie dać się zabić ani zarazić – taki życiowy cel, mało ambitny, ale jedyny, jakim obdarzył ich wredny Los.

Siedziałem w knajpie, gdzie obmyślałem plan nad szklanką samogonu. Właściciel placówki miał nieco szczęścia po wojnie. Znalazł aparaturę do bimbru i strzelbę. Musiał znać bimbrownika, dzięki czemu wiedział, gdzie i czego szukać. Teraz dorobił się własnego przybytku, na którym robił przyzwoity interes. Szkoda tylko, że jego zajzajer nie był równie przyzwoity. Ale jak to mówią: „Nie ma psa, to kot musi szczekać”.

Rzuciłem okiem na klientelę. Obdartusy, pozbawieni nadziei nieudacznicy wołający za ostatnie pieniądze zalać robaka, zamiast próbować polepszyć swój byt. No niestety, ludziska, niecały rok po wojnie, trzeba zakasać rękawy i tyrać. Samo się nie zrobi. Nikogo nie obchodzi, kim byłeś przed wojną. Urzędnikiem, sprzedawcą,

prezesem, teraz jak nie masz wiedzy lub umiejętności, jesteś zwykłym robodem. Zaczepiają ci pług na plecy i jedziesz. Chyba że nie chcesz takiego losu. Wtedy kradniesz, bijesz, uciekasz od życia, chlejesz za ostatnią kasę i liczysz na to, że nie dożyjesz jutra.

Drzwi stanęły otworem akurat, gdy zanurzałem mordę w szklance.

- Cześć, Sky – powiedział przybysz, na widok którego zamilkła cała knajpa. – A co ty robisz w takiej dziurze? Nie powinieneś przekopywać jakiegoś gruzu?

Nie musiałem patrzeć. Charakterystyczne szeleszczenie przy niektórych zgłoskach rozpoznałbym nawet, gdybym był głuchy. Kto raz je usłyszał, zapamiętywał na resztę życia. Czyli z reguły krótko.

Na imię miał podobno Rysiek. Przeczył regule, że Ryśki to fajne chłopaki, choć jego matka po porodzie jeszcze nie mogła tego wiedzieć. Riczi miał na głowie bałagan, jakby ktoś mieszał spaghetti młotem udarowym, i w międzyczasie je przypalił. Trudno było to nazwać włosami. Z oczu patrzył wcielony diabeł, wicie, spojrzenie z rodzaju tych, gdzie łapiesz kontakt wzrokowy na moment, i ten ułamek sekundy wystarczy, by przejrzeć się w duszy. A dusza jest czarna jak noc. Jeszcze nie wiesz za co, ale masz pewność, że ten koleś zrobi ci krzywdę. Zawsze miał na sobie łachmany, co dziwne, bo człowiek o jego pozycji i zdolnościach powinien umieć zdobyć ładne ciuchy. Tego jednego nie rozumiałem, ale nie zadałem sobie trudu, żeby spytać. Mimo wszystko najbardziej charakterystyczną cechą Ryśka był zgryz. Riczi z powodu braków w diecie nabawił się szkorbutu. Część zębów wypadła, pozostałe... nie przypominały zębów. Ktoś kiedyś podobno żartował, że uzębienie Ryśka przypomina klawisze fortepianu – tu białe, tu czarne, tu znowu białe. Facet zginął zaraz po tym. Riczi ku przestrodze rozgryzł mu tętnicę szyjną. Od tamtej pory nikt nie żartował z jego zębów.

Chciałem mu odpowiedzieć, że gruz to on chyba jadł, sądząc po stanie uzębienia, ale nie mogłem sobie pozwolić na otwarty konflikt z jednym z największych zabijaków w okolicy. Jeszcze nie teraz.

Pociągnąłem ze szklanki, która na moją rozpacz pokazała dno, i odpowiedziałem na pytanie, co tu robię:

- Piję alkohol, Riczi. To jedyna mordownia w promieniu stu kilometrów od dawnego Krakowa, gdzie dają nieskażony bimber.

Przysiadł się i zamówił dolewkę, dla siebie i dla mnie. Fajny gość, nieprawdaż?

- Gdyby ci chłopcy wiedzieli, ile jest wart sprzęt, który targasz ze sobą – szepnął, a smród jego oddechu poczułem aż w dole kręgosłupa – wyjęliby ci mózg przez dupę.

- To dobrze, że nie wiedzą, prawda? – Uderzyłem szklanką w jego szklankę i upiłem niewielki łyk. Już lekko szumiało mi w głowie, wolałem się nie upijać, jeśli przewidywałem ryzyko walki. Riczi nigdy nie chodził sam. Przed lokalem najpewniej czekała grupka jego kolesi.

- Powiedzmy. – Teraz to on wypił moje zdrowie, choć widziałem w jego oczach, że najchętniej utopiłby mnie w tym bimbrze. – A więc czego szukasz nieopodal grodu Kraka, panie archeolog? Czyżby zestawu pomieści, który niegdyś tu ulokowano?

- Być może. Gdyby tylko tu były. Obaj wiemy, że Skalski wywiózł je z Krakowa, kiedy tylko ZEE zażądały akcesu.

- A jednak tu jesteś.

- Jakbyś nie widział, piję.

- Może powinieneś pić gdzie indziej?

Spojrzałem na dziurę w jego swetrze. Na zewnątrz wystawała kępka pokręconych kłaków. Kiedyś był w Polsce taki kabaret. Jak oni się, cholera, nazywali? Matka oglądała te głupoty w necie, zanim jej dom doszczętnie spłonął. Nigdy nie rozumiałem, co w tym śmiesznego, ale obiecałem matce, że jeszcze będzie się śmiała.

- Jaki lokal proponujesz?

- To zależy. – Uśmiechnął się. Wolałbym tego nie widzieć. – Jeśli preferujesz kulturalne towarzystwo, polecam „Won stąd”. A jeśli kultura to nie jest u ciebie decydujący czynnik, to zdecydowanie „Zabieraj stąd swoją brudną rzyć”.

Dopiłem paskudnego drinka, wstałem i rzekłem:

- Dzięki za kolejkę, Riczi. I za radę. Zrewanżuję ci się przy najbliższej okazji.

- Nie ma za co, Sky. Pozdrów szefów.

- Nie omieszkam.

Wyszedłem.

Zgodnie z przewidywaniami przed knajpą czekało czterech obdartusów. Gdybym wiedział, że tylko tyłu, mógłbym spróbować swoich sił, ale teraz to nieważne.

Ważne było to, że spotkałem Riczego w okolicy Krakowa. Czyli on też szuka. A więc moje podejrzenia co do Skalskiego były cokolwiek słuszne. Teraz pozostawało odgadnąć, gdzie profesorek wywiózł paczkę...

- Synku, ja umieram.

- Nie mów tak. Wyjdiesz z tego.

- Nie wyjdę. Ja... ja już nie czuję, jakbym miała dalej żyć.

- Mamo, obiecuję...

- Nic nie obiecuj. Mam tylko jedną prośbę. Zanim odejdę... – Zamknęła oczy a delikatny uśmiech ścisnął go za serce - chciałabym jeszcze raz zobaczyć Kraków. Tam to wszystko się zaczęło.

- Ale mamo, Krakowa już nie ma.

- Jest. – Chwyciła jego dłoń i chciała uścisnąć, ale nie miała sił. - W pomieszczeniach.

Trzymał wątlą dłoń i bał się mocniej ścisnąć, by nie połamać kości. Niemalże widział przez nią na wylot. Kiedy matka tak schudła? Przecież odwiedzał ją niedawno i tryskała energią. Właściwie kiedy to było?

Ważka prowadzi mnie okrężną drogą. Mówi, że do Urzędu Miasta trzeba podejść od północy. Południowa strona to Rynek Wielki, raj dla snajperów i obserwatorów, a dla intruzów pewna śmierć. Idziemy dawną ulicą Łukasieńskiego i przechodzimy przez zaśmiecony plac, który według mojego sprzętu nosił nazwę Stefanidesa. Teraz można by go nazwać Placem Augiasza. Auta, które stały tu na parkingu, zniszczały i stanowią jedynie blaszane pomniki wojny. Z wraków wyciągnięto, co się dało, i co złodzieje uznali za cenne lub przydatne. Zniknęły na

pewno kable, fotele, alternatory i akumulatory. Nie znam się na samochodach, nie wiem, co jeszcze można z nich wydobyć.

Kryję się za złomami, utrudniając pracę potencjalnemu snajperowi w wieży ratusza. Wążka nie zadaje sobie takiego trudu. Widocznie jest przekonany, że nic nam tu nie grozi. Nie do końca mu ufam. Przezorny zawsze ubezpieczony. Tak nam powtarzał beznogi major Strzała na szkoleniu z rozbrajania bomb, zanim pewnego dnia pomylił kabelki.

Włączam tryb lornetki w soczewkach. Obserwuję okna i dachy, nie widzę nigdzie lufy karabinu. Przełączam na termowizję, potem podczerwień, sprawdzam wszystkimi filtrami. Może gówniarz ma rację? Nie, niemożliwe. W takich sytuacjach brak obstawy oznacza zasadzkę, ale może uda mi się przechytryć myśliwych.

- Tam. - Chłopaczyna pokazuje mi drzwi jednego z budynków.

Z tego, co udało mi się dowiedzieć w bazie rządowej przed wyruszeniem na lewą misję, podziemia Urzędu Miasta zalała woda z uszkodzonej kanalizacji. Przez lata nasiąknęła przeróżnym syfem z ekskrementów i rozkładających się zwłok, przez co była bardziej toksyczna niż Wisła w Warszawie po siedmiu atomówkach. Mój kombinezon powinien to znieść, a maska wyekstrahuje tlen z trującego ścieku. Pod wodą zaczekam do nocy, w mroku znajdę inne wyjście i tyle mnie widzieli. Po dwóch lub trzech godzinach ewentualni zasadzkowicze uznają mnie za martwego. Wtedy wyjdę. Oczywiście najpierw muszę znaleźć paczkę pomieści, ale jako jeden z niewielu żyjących wiem, jak wygląda.

Szefowie wywiadu – moi przełożeni – wiedzieli, co robią, kiedy wysłali mnie na studia z archeologii i muzealnictwa. Już wtedy musieli słyszeć o projekcie, w którym brał udział Skalski. Spodziewali się też zagłady świata, choć być może z nieco innej strony. Wojna handlowa Chin i USA trwająca przeszło czterdzieści lat ich zdaniem powinna była doprowadzić do globalnego konfliktu z użyciem arsenału nuklearnego. Zlekceważyli jednak to, co działo się w Europie od kilku dekad. Najpierw lewacy krzyczeli: „Refugess Welcome!”, by potem ich dzieci krzyczały: „Allahu Akbar!”.

Osobiście miałem politykę gdzieś, lecz praca w wywiadzie dawała mi poczucie realizacji. Miałem wiedzę z pierwszej ręki i wpływ na wiele więcej rzeczy, niż zwykły śmiertelnik. Wiedziałem też, że pewnego dnia wykorzystam to, by zdobyć pieniądze i władzę.

Drzwi do Urzędu Miasta są wyłamane, blokują wejście. Nie chce mi się z nimi szamotać, a wysadzenie mogłoby mi ściągnąć na kark paru nieprzyjemnych gości. Powybijane okna zaś dają całkiem niezłą alternatywę, oczywiście pod warunkiem, że wewnątrz budynku oferuje wygodne przejście, a w korytarzach nie leżą zwały gruzu. Biorę rozpęd, odbijam się stopą od delikatnego wyłomu i skaczę w górę. Chwytam parapet, by za chwilę podciągnąć się i wejść do środka. Resztki szyby nieznacznie kaleczą mi dłonie.

- Złaź! – Słyszę za sobą.

Odruchowo puszczam parapet, miękko spadam na ziemię i szukam schronienia. Znany mi szelest przy wypowiedaniu dźwięcznych zgłosek każe mi mieć się na baczności. To jego miasto i on tu rządzi. Zna każdy zakamarek, każdą ulicę, każdy kamień, który odpadł od niszczonych budynków.

- Witaj, Riczi.

- Coś ci powiedziałem w Krakowie.

- Owszem, powiedziałaś, żebym się stamtąd zabierał i proszę – nie ma mnie w Krakowie.

- Wiesz, że nie o to mi chodziło. – Marszczy brew. Jest niezadowolony z mojej riposty.

- W takim razie powinieneś wyrażać się precyzyjnie – odpowiadam.

- Rozważę to. – Celuje we mnie minidziałkiem na impulsy elektryczne. Jeśli z niego dostanę, usmaży elektrykę w kombinezonie i mnie w środku. Trzeba mnie będzie z niego wycinać jak średniowiecznego rycerza, ale w tych czasach nikt się nie bawi w takie subtelności. Tutaj zostawiają cię na ulicy, aż szczury i ptaki wyżrą wszystko i zostawią gołe kości. – Tracisz czas, Sky. Pomieści tutaj nie ma. Skalski oczywiście wywiózł coś z Krakowa, ale bynajmniej nie swoje największe osiągnięcie.

Gdybym miał odpowiedni sprzęt, wydobyłbym je dawno temu. Ale oto przywiozłeś mi kombinezon i nawet maskę oksykonwersyjną. Nigdy bym nie pomyślał, że nawiążemy tak bliską współpracę.

Dałem się podejść. Podpuścił mnie, żebym wyruszył na kolejną wyprawę w miejsce dla niego dogodne.

- Skąd wiesz, co Skalski wywiózł z Krakowa? – pytam.

- Och, to proste. Najcenniejszą rzecz, jaką posiadał. – Riczi uśmiecha się całe szczęście bez prezentacji uzębienia. – Nagie zdjęcia jednej ze studentek.

Wtedy wchodzi ona i już wiem, w jaką stronę zmierza całe przedstawienie.

Fretka.

Jej obecność zapewne ma mnie zmiękczyć, ale nie kiwam palcem, ani drgnę, nawet nie mrugam. Z Fretką łączyło mnie tylko współzycie, a nasze rozstanie było... Nie było rozstania. Po prostu przestaliśmy się bzykać. Jeśli Riczi myślał, że zrobi na mnie wrażenie, to się pomylił.

Fretka wygląda inaczej. Już nie ma sympatycznego wyrazu buźki, znacznie schudła, a spojrzenie mówi mi, że zabije każdego, jeśli to da jej szansę przeżycia. Szkoda, fajna była z niej dziewczucha.

- Czemu tak ci na nich zależy? – Próbuję zyskać na czasie.

- Nie rozumiesz? – Szcherzy się tak szeroko, że mogę policzyć wszystkie dziury w zębach. – „W krainie ślepców, jednooki jest królem”.

- Do ciebie bardziej pasowałaby kraina szczerbatych i, nie wiem, dentysta?

Skutecznie usuwam uśmiech z jego gęby, i dobrze, bo nie mogę dłużej na to patrzeć. Niestety, jego broń drga lekko, i chyba właśnie podpisałem na sobie wyrok śmierci. Gdyby nie to, że Riczi tak bardzo chciał się przede mną pochwalić swoim geniuszem, pewnie już gryzłbym glebę. W sumie, patrząc na Riczego jestem rad, że przynajmniej miałbym czym ją gryźć.

- Sky, Sky, Sky... Taki bystry, taki wyszczekany i taki nieroztropny. W moich stronach jest przysłowie: „Nie ubliżaj człowiekowi, który do ciebie mierzy”.

- A w moich stronach mawiają: „Srali muchy, będzie wiosna, będzie świnia lepiej rosła”.

- Wkurzasz mnie, panie dowcipniś. – Zaciska zęby ze złości. Jestem pewien, że zaraz któryś mu pęknie.

- Niedługo zginę – odpowiadam. – Jeśli mam do wyboru prawić ci komplementy albo nawrzucać, wybieram to drugie.

Dobrze wiem, po co Riczemu pomieścisz. Mapy najważniejszych miast świata w postapokaliptycznej rzeczywistości? Wiedza w nich zawarta może go uczynić władcą rozproszonych jednostek. Dostęp do ujęć wody pitnej, gleb zdatnych pod uprawę, plany sieci kanalizacyjnej, przedwojenne magazyny żywności o długotrwałym terminie przydatności i wiele innych cennych informacji znajdują się na nośniku, który przepadł w jednej z piwnic Krakowa.

Mogę pozwolić sobie na uszczypliwości. Riczemu zależy na moim sprzeczce, dzięki któremu mogę przeczesywać zalane toksycznym syfem piwnice bez obaw o zdrowie. Jeśli do mnie strzeli z działa, kombinezon przestanie być zdolny do użytku. Widzę po jego twarzy, że też to zrozumiał, dlatego tym bardziej dziwi mnie kolejny nieodgadniony uśmiech na jego brzydkiej facjacie.

- Mam dla ciebie propozycję.

- Niech zgadnę – kombinezon i maska za życie?

- Bystry jesteś, panie student.

- A co potem?

- To już zależy od ciebie. Możesz nadal robić jako chłopiec na posyłki dla agencji rządowych, albo przyłączyć się do mnie i walczyć o niepodzielną władzę we wracającym do życia świecie. Jesteś ambitny gość, panie agent, ryzykujesz życie dla odnalezienia najbardziej wartościowej rzeczy, która da ci ogromną władzę. I nie robisz tego na rozkaz dowódców.

- Skąd taki wniosek?

- Hah! – Tym razem niestety widzę jego zęby. – Szwendasz się po zniszczonej Francji, szukając niby to bazy islamców, gdzie prawie każdy ogarnięty gość na kontynencie wie, że nie ma czegoś takiego. Wcześniej jeździsz po dawnych Czechach i Niemczech w tym samym celu. Wypytyujesz o Japonię. A na koniec trafiasz do Krakowa. Tak, na pewno szukasz islamców. Aż dziwi mnie, że twoi szefowie kupują te bajeczki.

Bystrzacha jak na takiego obdartusa. Ciekaw jestem, skąd ma informacje, i ile z tego wie od Fretki.

- A jeśli się nie zgodzę? – pytam, choć z grubsza znam odpowiedź.

- Cóż... Wówczas, panie szpieg, stracę do ciebie szacunek, uznam za głupka – wzdycha z udawanym żalem – a moi chłopcy wydlubią cię z kombinezonu kawałek po kawałku.

Rozważam moje opcje. Całość powinna zająć mi około dwudziestu sekund, jeśli nie zaistnieją nieprzewidziane okoliczności.

W końcu mu się udało. Przyszedł do domu, wrzucił plik z pomieściem Krakowa do adaptera w goglach, po czym odnalazł Rynek Wielki, miejsce, o którym matka opowiadała tyle razy. Była na wycieczce szkolnej, robiła zdjęcia pomnika Mickiewicza, kiedy podszedł do niej obcy chłopak i powiedział:

- Chodź, pokażę ci, skąd można zrobić fajne zdjęcie.

Chwycił ją bezceremonialnie za dłoń i pociągnął w nieznanym kierunku, a ona zamiast się wyrwać, próbowała rozgryźć, jaką tajemnicę skrywają magiczne, zielone oczy nieznanomego. Dżinsowa kurtka, potargane włosy i za duże buty nadawały mu wygląd punka, lecz dla niej prezentował się niczym księżę z bajki. Gdy odnalazł właściwe miejsce, powiedział:

- Spójrz, z tej perspektywy wygląda to tak, jakby ten koleś miał wielkiego pindola!

W pierwszym odruchu miała ochotę go uderzyć, lecz żart rozbawił ją do tego stopnia, że gdy chłopiec zaproponował odłączenie się od grupy, nie miała wątpliwości.

Więcej go nie widziała i chociaż w maturalnej klasie została sama z dzieckiem, nie żałowała ani sekundy. Jedyne romantyczny moment w jej zbyt krótkim życiu.

Syn zdjął gogle VR i nałożył je matce. Widział nikły uśmiech, gdy ujrzała obraz ukochanego miasta. Z radości miała nawet dosyć sił, by uścisnąć jego dłoń. Walczył ze sobą, by nie zapłakać. Nie chciał jej przydawać smutku. Zapłacze już po wszystkim, kiedy ona nie będzie tego widzieć, a potem sam pójdzie w miasto, urznie się do zapomnienia i będzie powtarzał, że „jakoś to będzie”.

- Synku...

- Tak, mamó. – Nachylił się, bo ledwie słyszał jej szept.

- Dziękuję. – Dotknęła jego twarzy. – Mój Riczi. Mój mały Riczi.

Kiedy zdjął matce gogle VR, jej oczy już nie patrzyły. Wstał, otarł łzę i odszedł w kierunku, co do którego jeszcze nie był pewien.

- Generale!

Młody porucznik biegł z niewielką karteczką pokrytą nierównym, dziecięcym wręcz pismem przez korytarz podziemnej bazy wojskowej. Wpadł przez drzwi, stanął na baczność, zaszalutował, ale mimo to generał Foster nie był zbyt ukontentowany nagłą wizytą. Na czerstwą, doświadczoną twarz wychynął grymas niezadowolenia. Równo przystrzyżone siwe włosy przywodziły na myśl ogon rozeźlonego kota, którego wredna ciotka na rodzinnej imprezie głaska pod włos.

- Tuszę, iż to ważna wiadomość, McDougal.

- Tak, panie generale. Przyleciał gołąb z Polski. To wiadomość od Ważki.

- Co pisze? – Generał wyglądał na nieco mniej niezadowolonego.

- Potwierdza, że paczka jest w Zamościu, w posiadaniu niejakiego Riczego. A nasz człowiek zginął.

Foster zasępił się. Odzyskanie pomieści będzie wymagało użycia sił zbrojnych, a w takich sytuacjach zawsze ktoś zginie. Foster nie lubił tracić ludzi. Nie był sentymentalny czy litościwy. Strata żołnierza sił specjalnych, na szkolenie którego państwo wykladało wiele milionów dolarów, była zwyczajnie niepożądana i nieekonomiczna. Po wojnie przy życiu pozostała raptem garstka specjalsów. Należało gospodarować nimi oszczędnie. Ale świeżaków nie można wysłać na tak ważną misję.

- Przekaż chłopakom z Moskwy, że mogą wkraczać do akcji. Pomieścia odzyskać, bandę wytłuc, dzieciaki od Ważki przetransportować na którąś farmę w Kansas. Czy Sky miał przy sobie wrażliwe przedmioty? Dokumenty? Przepustki?

- Nic, panie generale. Był pewien, że jedzie na nielegalną misję, o której nie wiemy.

- Dobrze. Odmaszerować.

Siedzieli na gruzach pięknego niegdyś miasta i pili przyzwoitą, jak na tamte czasy, wódkę. Patrzyli na dymy w kierunku, gdzie powinno właśnie zachodzić słońce. Przybili zdrowie, jeden z nich powiedział:

- Za to, żebyśmy kiedyś mogli znów obejrzeć zachód słońca.

Pociągnęli solidny łyk. Kiedy przestali charczeć i parskać, ten drugi rzekł:

- Nie spodziewałbym się w tobie takiego romantyzmu.

- Wiele o mnie nie wiesz, Sky.

- Grzesiek.

- Co?

- Grzegorz. To moje imię. Grzegorz Skawiński.

Patrzył chwilę ze zdziwieniem na towarzysza i wyciągniętą jak do przywitania dłoń.

- Rysiek Zawada.

Odpalili po papierosie. Delektowali się ciszą i smakiem tytoniu, a dym z fajek tańczył na tle dymu na zachodzie. Ten drugi po chwili przerwał ciszę:

- Ważka wspominał, że trzymało cię w Zamościu coś cennego. Tak się zastanawiam... Jeśli nie pomieścisz, to co?

- Cóż... - Upił ze szklanki. – Już tam tego nie ma.